

Słowo wstępne:

Do pisania tej kroniki zgłosiłem się na ochotnika 20 lipca w sobotę wieczorem. Podczas gdy siedzieliśmy razem w większej grupie na biwaku padło znamienne zdanie: „Kto będzie w tym roku pisał kronikę?” Nie pamiętam już, kto rzucił to hasło. W każdym razie wysunięto kandydatury Michała Śląskiego oraz Mateusza. Odzew był słaby, a poza tym myśl pisania przeze mnie kroniki chodziła mi po głowie od piątku, wobec czego zgłosiłem się. W ten oto sposób zostałem po raz drugi kronikarzem naszych wakacyjnych, spływowych przygód. Spisywać notatki zacząłem w niedzielne popołudnie na bloczku papieru pożyczonym od Aliny i długopisie znalezionym w skodówce mamy.

Mimo że spływ trwał od 20 do 27 lipca to tekst ten obejmuje okres od 19 do 28 lipca, a więc również wydarzenia, które spłotyły się z wypadem na kajaki w jedną całość kiedy nasza rodzina była razem.

Prolog:

Wszystko zaczęło się 18 lipca 1933 roku w Złotnikach, kiedy to na świat przyszedł Zdzisław Skurczak¹. Równo 80 lat i jeden dzień później spotkaliśmy się w Kaliszu Pomorskim by uczcić ten fakt. Było to w pewnym sensie kontynuacją tradycji spotykania się na biwaku już w piątek, aby w sobotę rano zacząć spływ. W 2013 roku jednak zamiast jechać na pole namiotowe spotkaliśmy się w motelu na stacji benzynowej na ul. Szczecińskiej w Kaliszu Pomorskim.

Dziadek i Babcia nie mieszkają już w Kaliszu (w październiku 2012 roku przeprowadzili się do mojej mamy do Koszalina), ale swoje 80-te urodziny Dziadek chciał uczcić w mieście gdzie spędził większość życia. Okolicznością sprzyjającą było to, że spływ zaczynaliśmy w



Babcia i Dziadek pamiętali też o innych



Spotkaliśmy się w motelu przy CPN na ul. Szczecińskiej

Reczu (ok. 20 km od Kalisza). Uroczysty obiad był zamówiony na godz. 15.30 i rozpoczął się z małym poślizgiem. Po zjedzeniu Koszalin, Śląsk i Ciocia Krysia z Koziegłowami udali się na plażę miejską, a o 18.00 zmieniliśmy plażę na kościół (msza została zamówiona na poniedziałek 22.07.2013, bo w sobotę nie było już wolnego terminu). Po krótkiej mszy wróciliśmy do motelu na dalszą część obchodów. Jedzenia było jak na weselu, co 2 godziny donoszono nam ciepłe potrawy. Była to też dobra okazja do porozmawiania i pobycia razem (mama, Ela i Szymon z dziećmi, ciocia Krysia oraz Marzena nie jechali na spływ).█

Mimo zaawansowanego wieku dziadkowie byli w dobrej formie i dzielnie wytrzymywali trudy

¹ Zob. też *Genesis*, wstęp i oprac. Andrzej Skurczak na podstawie rękopisu Zdzisława Skurczaka, Piła 2011, s. 6.

długiego dnia (podróż+cały dzień na nogach). Dziadek otrzymał od nas kwiaty oraz wydruk książeczki *Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka...*, by przypominała mu czasy młodości (podpisaliśmy się wszyscy na pierwszej stronie). Babcia i Dziadek pamiętali też o innych - osoby mające urodziny w lipcu dostały od nich kwiaty i czekoladę (Aneta, Ela, ja i Tomasz). Dobrze się bawiliśmy, Grzegorz wyjął nawet gitarę i zaczęły się pieśni. Poszliśmy spać po 23 do pokoi w motelu.

Sobota, 20.07.2013

Po wstaniu rano zjedliśmy śniadanie w motelu, ogarnęliśmy się i wyjechaliśmy do Recza, na miejsce startu spływu. Dziadkowie wrócili do Koszalina z Marzeną. Asia odebrała z PKS-u od kierowcy dokumenty od samochodu (nie zabraliśmy ich w piątek i w sobotę rano Pan Stanisław dał je kierowcy w Koszalinie), pojechała dalej tym samym autobusem do Recza, tam oddała je Michałowi i pojechała stopem do Koszalina.

Tymczasem my byliśmy już w Reczu i czekaliśmy na kierowców – zostawili nas na starcie i pojechali nad jezioro rozbić namioty w obawie, że miejscowi nam zajmą cały teren. Po jakimś czasie wrócili, a w obozie została Justyna, Inga, Michał, Natalia, Monika, Alina i AS. Co ciekawe pierwszy raz w historii naszych wakacyjnych zmagani obóz był rozbit w miejscu w ogóle nie związanym z rzeką. Do Iny było parę kilometrów. Było to podyktowane trudnością znalezienia innych miejsc, gdzie można by się rozbić. Na rzece nie było za bardzo możliwości, dużo trudno dostępnych łąk i pól. Nad jeziorem było ładnie, był taki mały plac zabaw dla dzieci, pomost do kąpania (miejscowi wkurzali się jak myśliśmy się tam), można było też łowić ryby. Przyjeżdżało dużo miejscowych i wędkarzy, więc praktycznie cały czas ktoś z nami przebywał.



Splawianie się przez przepławkę

Na trasie było w tym roku sześć kajaków. W ten inauguracyjny etap wypłynęło dwóch singli. Dzielnymi śmiałkami byli Mateusz i Robert, który na swojej łódce wiozł dodatkowo karton z siatką do maskowania kajaków. Było to spowodowane przewidywanym zostawianiem kajaków w pokrzywach i ich maskowaniu na poszczególnych etapach podczas gdy będziemy cały czas na tym samym biwaku. Ten spływ zaznaczył się wieloma nowinkami i rozwiązaniami, których próżno szukać w poprzednich latach (aczkolwiek tak naprawdę to widać to dopiero z perspektywy kroniki, bo z perspektywy kajaka i materaca w obozie to nie czuć było tych nowo wdrażanych rzeczy). Czy sprawdziły się w praktyce? Zapraszam do czytania dalej.



Las z przewalonymi drzewami

Tego dnia nie daliśmy rady przepłynąć zakładanego odcinka (jeden wariat zakładał 14 a drugi 18 km). Zrobiliśmy tylko ok. 9,5 km do drewnianego, zapomnianego mostku wśród łąk. Pokonany fragment można podzielić na trzy etapy, mniej więcej każdy po 3 km. Pierwsza część była łatwa, na luzie, z małą atrakcją w postaci splawiania kajaków przez przepławkę dla ryb w



Arti z zakrwawioną koszulką

Reczu. Środkowa część to las z przewalonymi drzewami, gdzie dość często musieliśmy wysiadać z kajaka. Ostatni odcinek to przebijanie się przez strasznie zarośnięte trzcinami koryto rzeki. Tam było naprawdę ciężko. Wiośła tak naprawdę nie zanurzało się w wodzie tylko łamało trzciny, a gdzieś tam między nimi była woda. W dodatku spadały z trzcin jakieś robaki, same trzciny też nieźle siekały po ciałach - ja przeciąłem sobie dość mocno kciuka. Płynęliśmy długo, mniej więcej od 12.00 do 17.00, może 17.30. Na wspomnianym drewnianym mostku wujek Grzegorz oficjalnie potwierdził nasze pragnienia. „Na dzisiaj starczy” - brzmiał komunikat. Zadzwoił do Michała, po czym zamaskowaliśmy kajaki w trzcinach jakieś 50 metrów poniżej mostku i wróciliśmy do kładki rzeką (bardzo zarośnięte brzegi i nie chcieliśmy wydeptywać ścieżki, która mogłaby kogoś naprowadzić na kajaki). Udaliśmy się potem polną drogą do wioski (jakieś 25 minut na piechotę), skąd odebrali nas kierowcy.

Można było w końcu się przebrać i coś zjeść (dzisiaj na obiad serwowano to co zostało z poprzedniego dnia z 80-cio lecia. Pycha! A nie jakieś tam „meat balls”² ze

słoika). Dowiedzieliśmy się, że dziewczyny na biwaku nie nudziły się - Natalia, Justyna i Alina umalowały Monikę. Ponadto dyżurujący kąpali się i opalali, a pogoda dopisywała tego dnia, jak i zresztą na całym tegorocznym spływie. Będąc już wszyscy razem dalej kąpaliśmy się, korzystając z okazji bycia nad jeziorem (ja się nie kąpałem ani razu, bo nie chciałem zamoczyć rozciętego kciuka), łowiliśmy też ryby, ale z marnym rezultatem (3 sztuki). Wieczorem było ognisko i grill.

Niedziela, 21.07.2013

Pierwotny plan zakładał pójście na 9.00 do kościoła w Reczu i płynięcie kolejnego odcinka. Plany pozostały jednak tylko planami. Zanim się wypaliśmy i zjedliśmy śniadanie słońce zawędrowało już wysoko na niebie. Do kościoła pojechaliśmy na 11.30. Po mszy Basia i Grzegorz udali się do Choszczna na zakupy. Słusznie stwierdzili, że nie ma sensu kupować jedzenia na Śląsku i jechać z nim całą Polskę – w niezbędne produkty zaopatrywali się na miejscu. Ten dzień przeznaczony został na odpoczynek. Może to i nawet lepiej, że pozostaliśmy na obozowisku, bo tego dnia zaczęła się u nas mała epidemia. Biegunka dopadła Natalę, Mateusza, Anetę i Justynę. Do dzisiaj nie wyjaśniono jej przyczyny. Babcia Jadzia obstawiała kiełbasę Michała, którą jedliśmy na grillu dzień wcześniej. Możliwe, że sprawczynią całego nieszczęścia była wałowa wzięta z 80-lecia. Z kolei ja miałem lekkie problemy w czwartek, piątek i sobotę rano, więc może to ja przywlokłem chorobę na spływ? Jakby nie było, faktem jest, że tego dnia saperka była w częstym użyciu. Poza tym dzień minął spokojnie, na kąpielach, opalaniu i graniu w gry. Miejscowych było jak zwykle sporo. Jedni przekazali nam dmuchane pontony dla dzieci, bo



Po mszy - zwiedzanie Recza

² Na którymś tam spływie odkryto czym się różnią pulpety od klopsów. Otóż niczym. Na słoiku z pulpetami jest napisane po angielsku „meat balls”, a z klopsami również „meat balls”.

nie mieli jak ich zabrać (podobno tego samego dnia daliśmy im zepsute jedzenie z 80-lecia dla psów i kotów). Po południu opuścił nas Robert (nie dostał w tym roku urlopu) i Ania z Pawłem (Alina i Tomek odwieźli ich na pociąg o 18.50 do Choszczna). Wieczorem Michał wyciągnął harmonijkę, ja po jakimś czasie dołączyłem z gitarą i trochę popróbowaliśmy grać razem. Przy gitarze pomagał mi Grzegorz oraz wspomagał nas śpiewem. Ogniska nie rozpaliliśmy.

Poniedziałek, 22.07.2013

Po wstaniu - rano dzień przywitał nas ciszą i spokojem. Wczesna pora sprawiła, że miejscowych nie było jeszcze nad wodą.



Kajaki czekały już na nas gotowe do wypłynięcia

Zjedliśmy śniadanie i po 10.00 wyjechaliśmy z obozowiska. Kierowcy zostawili nas na skraju wioski i wrócili nad jezioro by zostawić samochody. Ja z Basią i Tomkiem ułożyliśmy się w cieniu i czekaliśmy na naszych szoferów. Natomiast Aneta, Michał i Mateusz postanowili poczekać na kierowców, ale już przy kajakach. Poszli więc leśną drogą na mostek i wyciągnęli z trzciny schowane tam kajaki. Gdy dołączyliśmy do nich, już czekały na nas gotowe do wypłynięcia. Na wodzie byliśmy od 12.15 i bardzo sprawnie poszło nam pierwsze pięć kilometrów – około godziny czasu. Potem tempo spadło. Były m. in. dwie „zapory” z pływających po

powierzchni wody trzciny na całą szerokość rzeki, przez które bardzo trudno się przepływało. Nie przejmowaliśmy się też zbytnio wiosłowaniem, poświęcając energię na gadanie ze sobą. Czasem jeszcze przeszkadzały trzciny zarastające koryto rzeki, jednak nie było już tak ciężko jak w sobotę. Ogólnie dzisiaj machnęliśmy tylko 8,9 km w niecałe trzy godziny.

Największe emocje miały dopiero nadejść. Kajaki zdecydowaliśmy się zostawić na lewym brzegu rzeki, w pokrzywach, około 50-100 metrów przed mostem drogowym. Po zamaskowaniu siatką, i obejrzeniu terenu, który był wokół cały zarośnięty, padły słynne zdania Grzegorza: „Nie możemy wydeptać ścieżki, bo znajdą kajaki. Musimy do mostu dotrzeć rzeką wpław”. Stwierdzenie to wydawało się nam absurdalne, Michał i As patrzyli czy nie da się jakoś przejść przez zarośla, ale naprawdę nie było takiej możliwości, a poza tym nawet gdyby to się udało to wydeptalibyśmy ścieżkę. No trudno, w takiej sytuacji każdy wziął manele nad głowę i zaczęło się przedzieranie. Idąc momentami po szyję w wodzie czuliśmy się jak żołnierze w Wietnamie. Zaraz niedaleko kajaków był też pień w wodzie, który przysporzył nam problemów, bo trzeba było się na niego jakoś wdrapać (z tego co pamiętam nie wystawał nad wodę i szczęśliwie był tam mniejszy pień, który można było wykorzystać jako schodek by wejść na większy). W końcu jednak dotarliśmy do mostu, a satysfakcja z porobionych wtedy zdjęć i świetnej przygody szybko pozwoliła zapomnieć o poniesionym trudzie (choć chyba każdy miał świadomość, że jutro trzeba będzie po te kajaki wrócić i to w dodatku pod prąd, co jest zadaniem trudniejszym i jeszcze całemu się zmoczyć



Idąc momentami po szyję w wodzie czuliśmy się jak żołnierze w Wietnamie

już na starcie).

W obozie czekał na nas pyszny obiad oraz całe mnóstwo miejscowych. Po południu dołączył do nas Piotrek, a także odwiedził nas Zbyszek Borciuch (jechał do Kalisza). Wieczorem znów grill i ognisko.

Pisząc kronikę na podstawie notatek sporządzanych w miarę na bieżąco znalazłem pod tym dniem mój ciekawy dopisek: „Z drugiej strony coraz ciężiej pisze mi się kronikę, bo mimo że poniedziałek dokończyłem w czwartek więc trzy dni wstecz to wszystkie dni się zlewają, bo cały czas jesteśmy w tym samym miejscu - dopiero w środę zmieniliśmy biwak”.

Wtorek, 23.07.2013

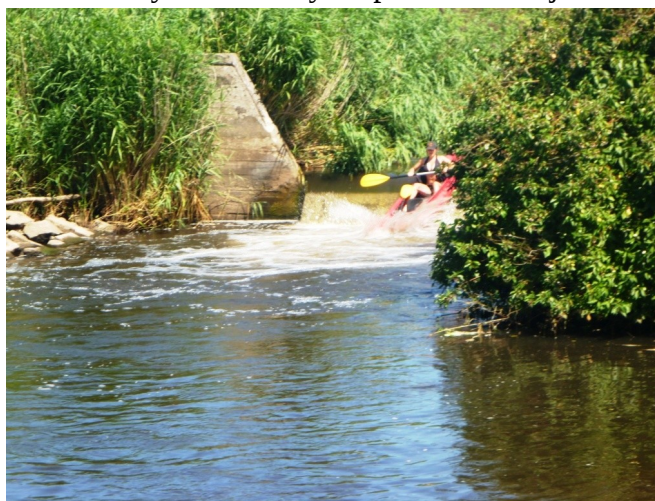
Pogoda dalej nam dopisywała. Tego roku na spływie jeszcze nie padało – póki co cały czas świeciło (a nawet smażyło) słońce. Po standardowym ogarnięciu się z rana powiadaliśmy w samochody i zaczęliśmy przerzucać ludzi na drogowy most, w pobliżu gdzie zostawiliśmy kajaki. Jedzie się tam już jednak dość długo – w jedną stronę 25 km, a trzeba tę odległość pokonać czterokrotnie (dodatkowy kurs, by odstawić samochody na biwak, a kierowców do kajaków). W czasie gdy kierowcy udali się z powrotem na biwak, by odstawić samochody, Mateusz i Michał (Śląski - a któż by inny) poszli wplaw pod prąd po kajaki. Po chwili pojawił się Mateusz płynący tratwą będącą połączeniem 4 kajaków związanych linką, a zaraz za nim Michał płynący jednym kajakiem i holujący drugi. Ja z Tomaszem i Asem pomogliśmy je wciągnąć na kamienie pod most.



Rzeka co chwila przegradzona była jazami

około 14 km (dla dociekliwych 14,3 km) wujek Grzegorz poszedł się zapytać facetów pilnujących pasących się obok rzeki krów o możliwość zostawienia u nich kajaków. Nie wyrazili chęci, więc łódki porzuciliśmy po drugiej stronie rzeki i zamaskowaliśmy siatką. Wszystko było ok, bo dodatkowo od wody osłaniały je drzewa, a od strony krów brzeg był mocno zarośnięty. Potem jeszcze tylko sforsowanie rzeki wplaw, minięcie krów i już byliśmy na polnej drodze prowadzącej do Krępcewa (swoją drogą to ciekawe co musieli sobie pomyśleć faceci pilnujący bydła).

W wiosce znajdowały się ruiny dawnej posiadłości Wedłów. Robiły wrażenie, niestety na wszystkich budynkach umieszczono tabliczki „Nie wchodzić, budynek grozi zawaleniem”. Po dojściu do asfaltowej drogi biegnącej przez środek miejscowości usiedliśmy na trawie by czekać na kierowców. Szybko staliśmy się



Udane przepłynięcie jazu a mimo to nabrało się wody

lokalną atrakcją. Przyszła pani w asyście jeszcze dwóch kobiet i przedstawiła się jako sołtysowa. Spytała się kim jesteśmy i co tu robimy, bo „dzieci się was boją”. Wujek Grzegorz odpowiedział że czekamy na transport, ale nie zdradził się, że płynęliśmy kajakami, pewno by uniknąć pytania o to co z nimi zrobiliśmy (co najśmieszniejsze to mieliśmy na sobie kapoki). Trochę niepokojące było to, że odchodząc sołtysowa od razu wyciągnęła telefon i zaczęła gdzieś dzwonić (w tym momencie na szczęście podjechały nasze samochody). Po jakimś czasie przyszedł też pewien starszy pan, podał nam rękę, po czym zaczął nas zagadywać. Mi najbardziej utkwiła w pamięci jego opowieść (mówiona z żalem), że brał udział w interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku. Jednak nie paliliśmy się zbyt do rozmowy – równolegle graliśmy w brydża. Po jakimś czasie pan ten poszedł. Zanim przyjechały po nas samochody to dwa razy dzieci zdążyły nam powiedzieć „dzień dobry”.

W obozie jak zwykle, dzień jak co dzień. Cały dzień pogoda była ekstra. Noc z wtorku na środę była naszą ostatnią nad tym jeziorem. Co ciekawe mam co do tego dnia sprzeczne zapiski. W jednym miejscu mam podane, że nie było ogniska, a na innym że było. Ciężko powiedzieć, która jest bliżej prawdy, ta o braku ogniska została zapisana w notatkach wcześniej. (dopisek AS – nie było)

Środa, 24.07.2013

Wstaliśmy tego dnia wcześnie – sygnałówka obudziła nas już o 7.00. Spakowaliśmy namioty i wraz z rzeczami wrzuciliśmy je do samochodów. Plan na dzisiaj był następujący –



Uczestnicy spływu – brakuje Piotra który dotarł później

jedziemy konwojem do Krępcewa, tam wyskakuje siedem osób i idą po kajaki, a reszta rozbija biwak w Poczerninie za Stargardem. Następnie dołączają do płynących na moście obwodnicy stargardzkiej, potem płyną przez miasto i dalej aż do biwaku. Tak też było, z tym, że dołączyliśmy na moście w mieście przy Lidlu, a więc później niż było zaplanowane. Trochę nie wyrobiliśmy się z czasem, a poza tym na obwodnicy nie byłoby gdzie się zatrzymać, by wysadzić posiłki. Do Stargardu płynęli Michał, Grzegorz, Mateusz, Justyna z Anetą, Piotr i Tomasz. Po 11 kilometrach w mieście dosiedliśmy ja, Basia, Alina i Michał Śląski. Stamtąd zrobiliśmy jeszcze 9 kilometrów – było łatwo, rzeka szeroka i nawet niezły nurt. Według płynących od Krępcewa do miasta nurt stał i dużo trzeba było wiosłować. Warto odnotować, iż po raz pierwszy nie zostawiliśmy kajaków wyrzuconych w krzakach! Noc spędziliśmy na podwórku u gospodarza przy moście w Lubowie.

Na biwaku było wieczorem ognisko. Postronnych osób nie było – towarzyszyły nam za to w dużej ilości komary (nad jeziorem nie było ich w ogóle – ale tam za to latało sporo much). Zdecydowanym minusem był brak kąpieliska i jakiegokolwiek plaży. Nie było nawet dobrego podejścia do wody, bo rzeka była otoczona wysokimi skarpami, ciężko było umyć ręce, naczynia czy wykapać się. Pod wieczór dołączył do nas Paweł.

Czwartek, 25.07.2013

Dzisiaj trochę się chmurzyło, a podobno nawet błyskało, ale w dzień nie spadła ani kropla deszczu. Trasa przeznaczona na czwartek była bardzo krótka – zrobienie 8,7 km z Lubowa do biwaku w Poczerninie. Było spokojnie, Michał wziął na kajak Monikę. Płynęliśmy około 2 godzin.

W związku z tym po południu było dużo wolnego czasu³. Poskładano mi i Tomaszowi życzenia. Na wieczór wystawiliśmy słodkie, trochę wina (które dostaliśmy w prezencie) no i urodzinową flaszeczkę. Było też ognisko z kiełbaskami i chlebem.

Piątek, 26.07.2013

Wujek Grzegorz obudził nas sygnałówką o godzinie 9.00. Basia i Tomasz mówili, że w nocy padał deszcz przez jakieś 10 minut. Czyżby więc był to pierwszy dzień deszczowy? Dziś dystans do pokonania wynosił 16,4 km. Wyruszyliśmy około 10.40 i dopłynęliśmy o 15.30. Typowy odcinek przez łąki – rzeka dużo meandrowała. Na

jednym z zakrętów typu 180° gdzie po wewnętrznej było trochę piasku wykopałem się z Pawłem, Piotrem, Michałem i Tomaszem. Młody Śląsk (Aneta, Justyna, Mateusz i Michał) jak zwykle przewodzili stawce i płynęli z przodu. Strasznie smażyło słońce (jak zresztą na całym spływie), ale po powrocie na biwak niebo zakryły chmury – jednak nie padało. Kiedy my płynęliśmy to w tym czasie Alina z Ingą były nad jeziorem. Nad ten sam akwen wybrali się potem Grzegorz, Młody Śląsk, Szczecinek, Alina i Paweł. Ja z Piotrem i Tomaszem pojechaliśmy na stację benzynową. Na obiad były pyszne pstrągi z grilla kupione dzień wcześniej przez Basię i Grzegorza. Wieczorem znów rozpaliliśmy ogień. I tutaj trzeba poświęcić osobny akapit temu co się wtedy wydarzyło.



Przerwa na kąpiel

I znów ci miejscowi! Najpierw przyjechali obok dużym samochodem i dało się słyszeć okrzyki „nie damy wam spać” (była wtedy gdzieś 22.00, a w każdym razie noc). Wkrótce potem do ogniska podszedł Piotr i powiedział „widziałem jak ktoś się tam kręcił dalej” (biwak znajdował się jakieś 200 metrów od drogi, tam trzeba było skręcić w prawo, przejechać przez most i wjeżdżało się



Wieczne koncertowanie

do Poczernina). Tomasz odszedł w mrok w stronę samochodów i namiotów, by zaraz wrócić i potwierdzić, że faktycznie ktoś tam się kręci. Po chwili dało się już słyszeć głosy. Zaraz potem do ogniska przyszło kilku miejscowych (w cieniu zostało jeszcze kilku, którzy nie podeszli do ognia). Powiedzieli „dobry wieczór” i spytali się czy mogą się dosiąść. Wujek Grzegorz zasugerował, że wolelibyśmy siedzieć sami, ale usiedli mimo to. Rozmowa się zbytnio nie kleiła, a trochę niezręcznie zrobiło się po tym jak wujek spytał: „ten gruby na quadzie co tu jeździł, to od was?”, po czym padła odpowiedź: „tak, to mój brat”. Na szczęście nie było jakiegoś dymu z tego powodu. W międzyczasie doszło

³ Zob. Aneks punkt b) Gry i zabawy na spływie

czerwony samochód przejeżdżający obok nas też był miejscowych. Ciekawą interpretację wieczornej „taktyki” tubylców dał wujek Grzegorz. Według niego do ogniska wysłali najbardziej odważnych, by obczaić co się dzieje, a w cieniu pozostała ekipa, która w razie dymu błyskawicznie włączyłaby się do akcji by spuścić nam bęcki. Na szczęście my nie szukaliśmy guza, a jak wspominałem, miejscowi siedząc przy ogniu nie prowokowali nas – było kulturalnie.

Jak już poszliśmy spać to w nocy padało – i to tym razem bezsprzecznie.

Sobota, 27.07.2013

Nie wylegiwaliśmy się długo w namiotach. Trzeba było wstąpić, by zwinąć namioty, przepłynąć trasę, popakować samochody i oddać kajaki. Ponadto Piotr musiał być po południu w Pile na naukach jako chrzestny.

Po zjedzeniu śniadania zaczęliśmy składać obozowisko, suszyć namioty na słońcu (trochę w nocy padało) i inne rzeczy, które robi się podczas składania obozu. Po ogarnięciu wszystkiego wsiedliśmy do wozów i udaliśmy się po kajaki porzucone w pokrzywach pod drugim przęsłem mostu drogowego nad rzeką. Zanim kierowcy obrócili w tę i z powrotem (ok. 30-40 minut) zdążyliśmy zwodować łódki. Jakies 50 metrów za mostem było nieoznaczone na mapach biwakowisko, o którym dowiedzieliśmy się dopiero „na miejscu”. Odcinek był krótki, około 10 km do Goleniowa. Wartym odnotowania jest fakt, że po raz pierwszy do kajaka wsiadła na tym spływie Natalia – płynęła z Mateuszem. Rzeka była fajna – szeroka, ale jednocześnie z dość bystrym nurtem i zwalonymi drzewami, do pokonania których trzeba było użyć trochę umiejętności, a nie tylko bezmyślnie przerzucać kajaki nad przeszkodą czy przenosić je łądem. Na miejscu byliśmy parę minut po 13.00. Zjedliśmy ostatnio w tym roku polowy obiad, posortowaliśmy rzeczy, zdaliśmy kajaki (Manicz był niedługo po 14.00) i o wpół do trzeciej rozjechaliśmy się w swoje strony. Zanim to nastąpiło zostałem oficjalnie zaproponowany na kierownika przyszłorocznego spływu. Propozycję przyjąłem (aczkolwiek gwizdek kierownika dostałem później w Szczecinku, przy okazji zlotu starych pojazdów w Bornym), a jako następnego kierownika oficjalnie zaproponowano Michała Śląskiego. Jednak nie żegnaliśmy się, bo już następnego dnia znowu mieliśmy być wszyscy na chrzcinach Bartka w Pile.



W ostatnim dniu zdecydowała się płynąć Natalia

Epilog

Niedziela, 28.07.2013

Dziadek Skurczak przyjechał na chrzciny pociągiem w sobotę. Babcia źle się czuła i ostatecznie została w Koszalinie. Alina, którą od soboty rano męczyła grypa żołądkowa również została w domu. Śląsk nocował na miejscu, natomiast inni dojechali. Zestaw generalnie ten sam co na 80-leciu, poszerzony o Rotterów i Jasińskich oraz znajomych Eli i Szymka. Od nas nie było niestety Ani Kapsy, ale za to przyjechał pan Stanisław. Chrzest odbył się na mszy o 12.00 w kościele na Korczaka (chrzestnymi Agata Rotter i Piotr Skurczak), potem uroczysty obiad na Płotkach. Około godziny 15.00 zaczęliśmy się rozjeżdżać, a część została by pójść do parku



linowego, który był tuż pod ręką.

Chrzcziny Bartka, na zdjęciu - 4 pokolenia

Słowo końcowe

Dziękuję wszystkim, którzy brali udział w tegorocznym spływie za świetnie spędzony czas, dobrą zabawę i umacnianie więzi rodzinnych. Szczególnie w tym miejscu chciałbym pogratulować cierpliwości i zdrowia Monice i jej rodzicom. Monika w tym roku przed spływem była w szpitalu z powodu chorych stawów i przez większość spływu nie była jeszcze zdrowa. Mało chodziła i płakała w nocy. Gratulacje dla rodziców czuwających nad dzieckiem i tego że wytrzymali trud spływu. Na szczęście pod koniec kajaków Monika czuła się już lepiej.

Do zobaczenia za rok!

Artur Kubat

ANEKS:

a) Kierownik: Michał Skurczak

Spływowicze: Alina, Paweł, Tomek, Ania, Artur, Monika, Natalia, Inga, Justyna, Aneta, Michał Ch., Mateusz, Basia, Grzegorz, Robert, Piotrek, Andrzej

b) Gry i zabawy na spływie:

W tym roku podobnie jak i poprzednich latach nie mogliśmy narzekać na nudę na biwakach. Była Neuroshima Hex od Michała Chroboka. Młody Śląsk zagrywał się też w przeróżne gry karciane, m.in. kanastę. W czwartek Andrzej Skurczak wyciągnął rzutki. Tarczę zawieszono niedaleko namiotów, w pobliżu tego, w którym spał As. Wujek przyglądając się grze, stwierdził, że kto trafi w jego namiot, ten płynie z nim jutro. Efekt finalny był taki, iż trafiły 4 osoby, więc żartowano że As ma już zaklepaną obsadę na przyszły spływ. Wieczorami nie mogło też zabraknąć klasyki – brydża. Oprócz tego, Piotr przywiózł polowy zestaw do szachów/warcabów. Nauczyłem Michała i Asa grać w wersję ruską (kto pierwszy straci pionki ten wygrywa). Jeśli w ten wariant jako tako mi szło to zagranie z Asem w zwykłą wersję skończyło się dla mnie tragicznie.



Nowością na tym spływie było Magic the Gathering. Talie zabraliśmy ja i Tomasz. Swoją miał także Michał S., ale niestety ktoś mu ją ukradł podczas 80-lecia dziadka, bo zostawił ją na chwilę na dachu samochodu. Nauczyliśmy też grać Piotra, który pierwszy raz widział tą grę. Przy okazji okazało się, że Mateusz i Michał Ś. też mają swoje talie i żalowali, że nie powiedzieliśmy im, że bierzemy Magica, bo też by wzięli.

Nowością była gra Magic the Gathering

c) Zdjęcia „rzutem na taśmę” dodał AS

September, Anno Domini 2013
a.k.